Życie usłane różami i kamieniami

BARBARA KRAFTÓWNA opowiada WIESŁAWIE LIPIŃSKIEJ o swojej romantycznej miłości, życiu w Ameryce, Gombrowiczu, Witkacym i „Kabarecie Starszych Panów".

– Polska aktorka mówiąca po angielsku w amerykańskim spektaklu? Jak to się stało, że gra pani główną rolę w gombrowiczowskiej „Biesiadzie u hrabiny Kotlubaj, reżyserowanej przez Amerykanina?

– Z profesorem Michaelem Hackettem z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles współpracowałam już wcześniej. Grałam w jednej ze sztuk, której był reżyserem. Gdy zaproponował mi rolę w „Biesiadzie" byłam zachwycona. Opowiadanie Gombrowicza, wspaniale przetłumaczone na angielski przez profesor Annę Krajewską-Wieczorek, ma szanse być zaprezentowane szerokiej publiczności w USA. Tydzień temu odbyła się premiera w Los Angeles. Sztuka bardzo się podobała. Są już pierwsze propozycje wystawienia jej w San Diego i San Francisco. Wczoraj w Radomiu odbyła się polska prapremiera. Tak się dziwnie składa, że Gombrowicz i Witkacy mieli ogromny wpływ na moje życie osobiste i zawodowe. Dzięki Witkacemu znalazłam się w Ameryce. A zasługą Gombrowicza jest moja współpraca ze wspaniałym reżyserem, prof. Michaelem Hacketttem i udział w prestiżowym Festiwalu Gombrowiczowskim. Granie w sztukach tego wybitnego pisarza jest mi szczególnie bliskie. W 1957 roku odtwarzałam główną rolę w „Iwonie kiężniczce Burgunda", wystawionej w Teatrze Dramatycznym. Wkrótce przedstawienie zostało zdjęte, a granie Gombrowicza zakazane na długie lata. Teraz los znowu dał mi szansę spotkania się z nim.

– Od kilkunastu lat mieszka pani w Ameryce. Co panią skłoniło do opuszczenia Polski w szczytowym okresie popularności?

– Pojechałam do Los Angeles na zaproszenie reżysera Leonidasa Dudarewa-Ossatyńskiego, by zagrać w „Matce" Witkacego, wystawianej w amerykańskim teatrze. Potem zatrzymały mnie tam osobiste sprawy. Po prostu spotkałam mężczyznę „mojego życia" i zakochałam się z wzajemnością. Byłam wtedy wdową. Mój pierwszy mąż, aktor Michał Gazda zmarł pod koniec lat sześćdziesiątych.

– Kim był pani wybrany – Polakiem czy Amerykaninem?

– Amerykaninem. A spotkanie z nim przypominało historię rodem z „mydlanej opery" lub z romansów „Harlequina". W Międzynarodowym Instytucie w San Francisco miałam mały recital dla tamtejszej Polonii. Gdy byłam na scenie, zwróciłam uwagę na przystojnego mężczyznę siedzącego w pierwszym rzędzie. Po koncercie przyszedł złożyć mi gratulacje. Byłam przekonana, że to Polak. Więc kiedy zwrócił się do mnie po angielsku poczułam się zaskoczona. Okazało się, że był jednym z dyrektorów instytutu. Kilka dni później powiedział mi, że to przeznaczenie sprowadziło go na mój koncert. Nigdy wcześniej nie bywał na tego typu imprezach. Wkrótce pobraliśmy się. Niestety, szczęście nie trwało długo. Arnold zmarł na zawał serca pół roku po naszym ślubie. Moje życie zawsze było usłane różami, gwiazdami i... kamieniami.

– Czy wierzy pani w przeznaczenie?

– Tak. Bardzo często mam uczucie jakby jakaś tajemnicza siła kierowała moim życiem. Nigdy takim sygnałom nie sprzeciwiałam się. Poddaję się intuicji – lub jak pani woli – przeznaczeniu.

– Czy w Ameryce ma pani możliwość uprawiania aktorstwa?

– Tak. Mam kilka dla mnie znaczących osiągnięć. Przez kilka sezonów pracowałam w Instytucie Filmowym w Uniwersytecie Kalifornijskim. Nakręciłam tam dwa filmy. Grałam również u młodego, polskiego reżysera Krzysztofa Przykuckiego i pomagałam mu w przygotowaniu filmu dyplomowego w Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles. Właśnie ta praca zdobyła wyróżnienie na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie. A także wyreżyserowałam widowisko „Kram z piosenkami" według Leona Schillera dla Polonii. Rok temu, prestiżowy przegląd polskiej kinematografii dla amerykańskiej publiczności otworzył film „Jak być kochaną", w reżyserii Wojciecha Hassa. Gram w nim główną rolę Felicji, za którą otrzymałam nagrodę Golden Gate w San Francisco w 1963 roku. Nie mogę narzekać na brak pracy i zaszczytów.

– Czy nie pociąga pani Hollywood. Mieszka pani tak blisko tej wymarzonej przez aktorów czarodziejskiej krainy?

– Nigdy nie miałam potrzeby bycia wielką gwiazdą. Nigdy też nie przyjmowałam propozycji, które nie odpowiadały mi artystycznie. Komfort psychiczny był ważniejszy niż pieniądze. Nie czuję się sfrustrowana sąsiedztwem Hollywood. Po prostu umiem się cieszyć wszystkim co przynosi mi życie.

– Wielu widzów pamięta panią z występów w „Kabarecie Starszych Panów". Pani niezapomniane piosenki: „Przeklnę Cię", w duecie z Bogdanem Łazuką i „W czasie deszczu dzieci się nudzą" stały się już klasyką. Jak pani wspomina tamten okres?

– Spotkania i piosenki Wasowskiegi i Przybory obrosły już legendą. Kabaret był kopalnią talentów i dał nam nieśmiertelność. Tamtej atmosfery życzliwości, zabawy, wzajemnej inspiracji, przygody intelektualnej nigdy później nie doświadczyłam.

– Coraz częściej można panią zobaczyć w polskich serialach, filmach i sztukach. Czy ma pani zamiar wrócić do Polski na stałe?

– Ja nigdy nie wyjeżdżałam na stałe tylko na dłuższy lub krótszy czas. Moje miejsce zamieszkania wyznacza praca. Lubię podróże i wszędzie czuję się dobrze. Uwielbiam wiejską ciszę i spokój, ale po pewnym czasie odczuwam tęsknotę za tętniącym życiem wielkim miastem. Od czterech lat krążę między Los Angeles i Warszawą. Ostatnio zrealizowałam wiele ciekawych propozycji. M.in. grałam w sztukach: „Królewska gra czyli Pat" Kohołta, w reżyserii Roberta Cywińskiego, w „Sztuce przekładu" Harwooda, wyreżyserowanej przez Laco Adamica. Nakręciłam także kilka seriali i filmów. Zaczęłam od „Banku nie z tej ziemi" w reżyserii Waldemara Dzikiego, który ściągnął mnie zza oceanu do roli babci Leokadii. Wielką satysfakcję przyniósł mi monodram „Co się właściwie stało z Betty Lemon", reżyserowany przez Tomasza Wiszniewskiego.

– Czy jest to pani pierwsza wizyta w Radomiu?

– Byłam tu przed laty z minirecitalem. Brałam również udział w koncercie, zorganizowanym w ramach popularnego w latach siedemdziesiątych „Konkursu Miast". Pamiętam, że konkurowały z sobą Radom i Kielce.

– Jakie są pani plany na przyszłość?

– Po festiwalowych emocjach zamierzam odpocząć. Wybieram się do przyjaciół, którzy mieszkają w Borach Tucholskich. Jeżdżę tam od lat i nie zamieniłabym tego miejsca na żadne inne. Potem być może odwiedzę mojego syna, synową i trzynastoletniego wnuczka, którzy mieszkają w Toronto.